

Chwała jej maszynistom!

Janusz Likowski

Jest coś zadziwiającego w dziejach naszego pokolenia. Na naszych oczach dokonują się przeobrażenia, których proces według dotychczasowych tradycji historycznych powinien trwać jeśli nie wieki, to wiele dziesiątków lat. Żyjemy niesłychanie szybko. Zmieniamy wszystko:

przez uchylone okno słup kilometrowy — już rad-biega nowy. Przeżywamy wieki w ciągu lat, lata w ciągu dni. Godzin nikt nie liczy, bo to w epoce socjalizmu dziesiętne ułamki sekund. Co przed dwudziestu laty było jeszcze nowe i trzymało się jako tako całości, dziś jest stare, zgrzybiałe, zmuszające. Trzeba je co rychlej zmienić, uczynić bardziej nowoczesnym, zgodnym z epoką, w której żyjemy. Taka jest cecha nowoczesnej historii.

Tradycje pierwszych prób

Wielkim szacunkiem otacza się w naszych czasach genialnych wynalazców, którzy wyprzedzili swe stulecie. Niedawno obchodziliśmy rocznicę urodzin wielkiego Leonardo da Vinci. Genialny człowiek. Umysł wieku dwudziestego: wszechstronny, dociekliwy, domagający się podporządkowania człowiekowi praw przyrody. Poszukajmy ludzi, którzy jak on, często nawet nieświadomie, ruszali do walki o nowy świat. Sympali węgiel pod kotły nie stojące jeszcze na szynach parowozu.

Znajdziemy starożytnego Spartakusa — wodza pogrążonych, poniewieranych, ludzi — rzeczy, których patrycjusz rzymski mógł zabić, okaleczyć, zamorzyć głodem. Wydziedziczeni powstałi. Zasiali ciętami poległych łaciński półwysp. Ich wnukowie porywali się jeszcze nie jeden raz i oni właśnie stali się przyczyną klęski starożytnego Rzymu. To była pierwsza łopata węgla pod kotłem.

A dalej — bunty i wojny chłopskie we Francji, Niemczech, walki husytów, powstanie Kóstki Napierskiego w Polsce, Stienki Razina i Pugaczowa w Rosji. To tylko kilka starć. Rozpalało się zarzewie kwestii społecznej. Temperatura w kotle parowozu dziejów rosla.

A dalej Wielka Rewolucja we Francji. Walka jakobinów. Pierwsze, marzycielskie próby stworzenia ustroju sprawiedliwego społecznego Babeufa, nie poparte nauką, zawieszono w próżni. Było to pierwsze wydanie naszej epoki. Rozwój stosunków społecznych począł się rażno toczyć. Parowóz ruszył. Często hamowano go. Zamykano ła-

pami semaforów wjazd do stacji noszącej nazwę „Socjalizm”. Podstępnie wtaczano pociąg historii na ślepy tor. Działo się tak w roku 1848, wykończono go w 1871, próbowano wysadzić w powietrze w pierwszym dwudziestolecu naszego wieku.

Ciśnienie w kotle sięgało jednak tysięcy atmosfer. Dopiero w 1917 roku można było je wykorzystać. Historia ruszyła pełną parą naprzód. Miała przecież doskonałych maszynistów. Lenin i Stalin wypróbowana ręka trzymali przekładnię dźwigni.

Teraz powiedzmy: Spartakus otworzył etap zorganizowanej walki wyzyskiwanych — Lenin i Stalin otworzyli etap ich zwycięstw. Ich imiona postawmy jak tysięczne znaki przebytych kilometrów na gigantycznej trasie podróży ludzkości.

Staliśmy na peronie zburzonego dworca

Tak trzeba by zacząć poetyckie porównanie dziejów naszego narodu ostatnich lat. Dworzec ten był lichy, budynki dziurawe i słabe, w których wiatr gwizdał. Tor niepewny, nie nadający się do szybkości ekspresu.



Burza gradowa kilku lat wojny obaliła semafony, przekładnię. Pozostał peron i szczątki nasypu.

Jak iechać dalej, gdy pociąg nie może ruszyć? Skąd wziąć węgiel, stal i sił do rycia wykopów, wznoszenia nasypów, budowania aparatu łączności, sygnalizacji, bezpieczeństwa jazdy?

Przypomnijmy sobie, że w owym roku 1945 byli dżi-wacy, którzy proponowali, by Warszawę na pamiątkę pokoleniom zostawić w gru-

zach. Nieświadomie próbowali spełnić wolę Hitlera, który rozkazał miasto naszej wolności zrównać z ziemią, jak niegdyś Rzymianie Kartaginę.

Pociąg historii odjechał od zburzonego dworca wiele kilometrów. Zapominamy już o jego widoku, pozostało niedobre wspomnienie jak męczący sen. Zajmują nas problemy nowe — twórcze nie życia.

Mijaliśmy stacje coraz prędzej. Maszynista Polski Ludowej, nasz drogi Prezydent Bolesław Bierut mówił: „Dajmy więcej węgla pod kotły parowozu. Niech naród ruszy pełną parą naprzód! Niech nikt nie zostaje na peronie, bo ekspres nie czeka”.

Nasz pociąg nabierał szybkości z latami. I oto dojechaliśmy do stacji węzłowej, noszącej nazwę „Konstytucja Polskiej Rzeczyrospolitej Ludowej”.

Plac Konstytucji

Obejrzyjcie fotografie. Albo lepiej: zapytajcie najlepszych z młodzieży — przewodników, delegatów na Zlot, jak wygląda plac Konstytucji. Nowoczesna dzielnica wyrosła jak przepyszny ogród na ruinach, których śladu tutaj nie znajdziecie: jak sad owocowy na utorze, a sad ten rozciąga się będzie coraz szerzej, bo takie jest prawo życia. Przez plac Konstytucji maszerowała młodzież. Dwieście tysięcy najlepszych, którzy w godzinę przedtem ślubowali wierność Konstytucji.

Pokolenie budowniczych. Dla nich pociąg nie jedzie za przedko. Mówią, że węgla starczy, że sił starczy, że trzeba tylko bez przerwy sypać łopatami pod kocioł.

Rozejrzyjmy się po stacji.

Konstytucja. Kiedyś za żądanie jej w imieniu narodu królowie parujący „dei gratias” spychali podanych w mrok więziennych lochów. Były to czasy rycym nie ograniczonych rządów klasy posiadaczy ziemi. Konstytucja miała powiedzieć tylko, że ponad władzą króla jest jeszcze prawo narodu, ale królowie uważali to za obrażę boga, państwa i siebie. Jak skromne były żądania zwolenników konstytucyjnej monarchii, a przecież w naszej tradycji historycznej twar-do wbił się dzień 3 maja, jako słup milowy odrodzenia



CAF — fot. Nowosielski
Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa — najmłodsza dzielnica Warszawy — tętni już normalnym życiem.
Na zdjęciu: fragment Placu Konstytucji.

narodu. Współcześni trzeci-giego maja wierzyli, że powszechne prawo w państwie da początek jego sile, zniszczy wielmożów i samowładców magnackich. O strożnie, w obawie przed panami-szlachtą, dano tylko kilka praw mieszczańskim. Chłopów poniewieranych, wydziedziczonych, pod opiekę prawa przyjęto. Ci sami chłopcy nie o wiele później ruszyli do powstania Tadeusza Kościuszki, by walczyć o niepodległość Ojczyzny.

Konstytucja. Później stała się parawanem rządów burżuazji. Barwny dywan komunalny na fasadzie państwa kapitalistów i niedzne lepianki chłopskie. Blask słowa wolność i wyroki eksmisyjne wydane przez „niezawisłe” sądy przeciw bezrobotnym. Demokracja słów i strzały policji do tłumy — raz byli to robotnicy, raz chłopcy, a kule nie wybierały. Trafiały ludzi, którzy chcieli żyć inaczej, a po staremu już nie mogli.

Konstytucja. Nasza. Konkretna. Wyrosła na faktach, na rewolucyjnym ruchu mas: robotników, chłopów, na słowie poetów i wiedzy uczonych. Zbierając, jak w soczewce, promienie najlepszych tradycji. Jest w niej dzieło Kołłątaja, Staszica, Kościuszki, Dembowskiego, Dąbrowskiego, Waryńskiego, Róży Luksemburg, Marchlewskiego, Fe-liksa Dzierżyńskiego, No-jako słup milowy odrodzenia

Przesuwają się przed o-czyma obrazy walk dwu stuleci, kilku pokoleń rewolucjonistów. Kwitujemy ich walkę wielkim dokumentem historii — zwycię-żyli.

Całą naprzód!

Czasem, gdy sobie człowiek sentymentalnie poma-rzy, przychodzi myśl żalu, że Waryński umarł w twierdzy szlisselburskiej mając niewiele ponad trzydzieści lat, że inni jego towarzysze stanąć musieli przed karabinami wymierzonymi w ich pierś lub zwiędło ich życie w więzieniu, jak kwiat bez słońca. Tkwi bowiem w człowieku uczucie zawsty-dzenia, że oto korzysta z owoców cudzego trudu, do którego sam ręki nie przy-łożył.

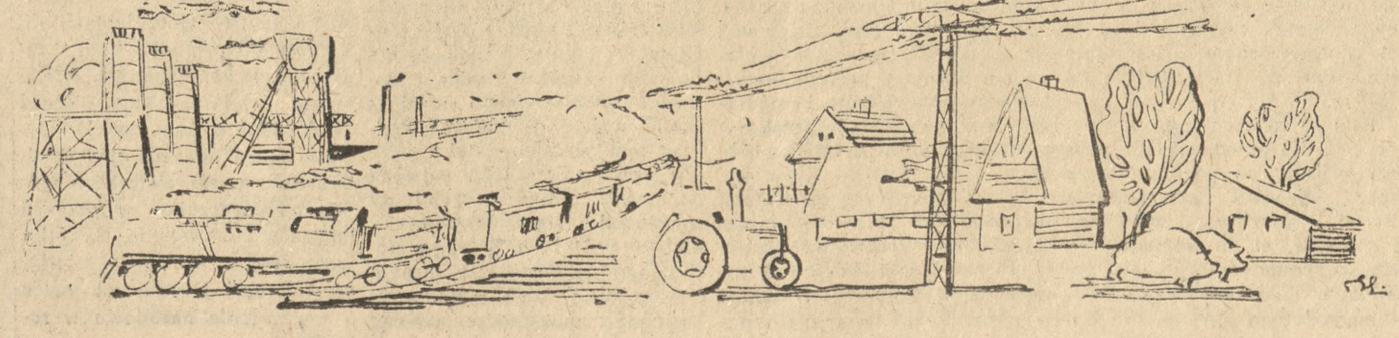
Nie przyłożył?

Przyjaciele! Walka trwa co dzień. Rewolucja się nie skończyła — skończył się tylko jej etap. Nas wielcy maszyniści historii burzyli co stare i złe. Burzyli z pasją. Podkładali miny, ciągnęli występy murów linami. Mu-ry ich przygniatały — zwa-lali je ze swych bark. Nie pozwalali, by rewolucja — ten parowóz historii stoczył się z nasypu. Gdy węgla nie starczyło — własnymi rękoma pchali kolosa po szynach. Dotarli do miej-sca, gdzie łatwiej poruszać machinę, ale tor się nie skończył. On wiedzie da-lej.

Pociąg historii rusza ze stacji „Konstytucja”. Czerwone ramie semaforu podniesione do góry. Droga wolna! Całą naprzód!

Rewolucja — ten parowóz historii ma pełne ciśnienie pod kotłami. Powiedzmy słowami poety:

„Chwała jej maszynistom!”



Temu, co życie oddał dla nauki

Dr med. Alfons Zaidlewicz

25 lipca zakończył życie w wieku 79 lat w Poznaniu człowiek wielkich zasług dla nauki i społeczeństwa dr med. Jan Zniniewicz. Postać tego lekarza jest dobrze znana społeczeństwu oraz kołom naukowym Polski Ludowej i zagranicą. 50 lat życia poświęcił badaniom naukowym i leczeniu chorych, za pomocą stworzonego przez siebie nowego systemu wodolecznictwa. Zasługi położone na tym polu wiedzy spowodowały, że wielu uczonych zagranicznych żywo interesowało się jego teorią leczniczą a radziecki Instytut Fizjologii im. Pawłowa w Leningradzie przeprowadzał wymianę naukową z polskim uczonym.

Jest bowiem rzeczą charakterystyczną, że dr Zniniewicz doszedł samodzielnie do odkrycia, iż mózg odgrywa dominującą rolę w procesach biologicznych ustroju, co jest podstawą teorii wielkiego fizjologa radzieckiego — Pawłowa.

Geneza teorii leczniczej dra Zniniewicza tkwi w jego własnym życiu. Urodził się 1.12.1872 r. w Ostrowie Wlkp., jako pierwsze z czworga dzieci tamtejszego sekretarza sądu. Jako 6-letni chłopiec skutkiem upadku ze schodów doznał wstrząsu mózgu, z powodu czego cierpiał przez długie lata na nieznosne bóle i zawroty głowy. Po ukończeniu gimnazjum poświęcił się studiom filozoficzno-teologicznym, które po kilku latach zmieszony był przerwać z powodu wzmagających się, nieustępliwych bólów i zawrotów głowy. Wtedy to zaczął leczyć się w różnych sanatoriach, jednak bez rezultatu. W tym czasie przeprowadzał dyskusje z lekarzami, krytycznie rozważając skutki zabiegów wodoleczniczych i doświadczał na sobie licznymi eksperymentami działania polewania wodą. Wówczas zauważył wyjątkową rolę, jaką spełnia mózg w stosunku do całości organizmu i poszczególnych jego narządów.

W ten sposób jeszcze przed wstąpieniem na studia lekarskie powstały zasadnicze, choć proste zryby przyszłej teorii wodoleczniczej. Na medycynę wstępuje w 30 roku życia w Gryfii, gdzie w czasie studiów skrycie uprawia dalszą praktykę polewania wodą nieraz tych, u których inne leczenie zawodziło. Uzyskując często niespodziewane dobre wyniki, oddaje się gruntownym studiom nad nową teorią leczniczą. Po ukończeniu medycyny w 1907 r. wraca do Poznania, gdzie odbywa jednoroczną staż w obecnym Szpitalu Klinicznym im. Pawłowa.

Po roku zamienia własne mieszkanie przy ul. Strzeleckiej (narożnik Rybaków) na prowizoryczny zakład wodoleczniczy i odtąd mając bardzo liczną frekwencję pacjentów rozbudowuje jego urządzenia.

Od 1923 r. Zakład Wodoleczniczy dra Zniniewicza mieści się przy al. Marcinkowskiego, a w roku bieżącym dzięki poparciu dyr. Biura Rady Naukowej przy Ministerstwie Zdrowia doc. dr Hausmanowej utworzony zostaje przy I Klinice Wewnętrznej Ośrodek Naukowy. Badawczy dla jego metody leczniczej. W 1949 roku zostaje dr Zniniewicz operowany (amputacja nogi) z powodu choroby Bürgera i od tego czasu przebywając w Szpitalu Klinicznym im. Pawłowa zasadniczo nie opuszcza swego łóża. Niezwykłe silny organizm walczy jeszcze przez 2 lata z nowymi schorzeniami, jednak w końcu wyczerpany z zasobu sił, kończy życie przy zachowaniu zupełnej jasności umysłu, rzadko spotykanej w tym wieku.

Dr Zniniewicz przeprowadził na sobie około 30 000 eksperymentów wodnych, napisał 26 tomów dzieł, z których 2 były dotychczas drukowane (w 1913 i 1930 r.) oraz szereg mniejszych rozpraw naukowych.

W swym dorobku naukowym przedstawia nową metodę i teorię z dziedziny wo-

dolecznictwa. W odróżnieniu od wszystkich dotychczas znanych systemów wodoleczniczych dodaje jako istotną część składową systemu polewanie głowy.

Odnosnie polewania głowy opracowuje szereg rozmaitych sposobów, które znowu nie są obojętne dla wyników i trwałości kuracji. Zapożnanię się z metodą leczenia dra Zniniewicza nie jest wcale łatwe i wymaga wedyt jego zdania 2 lat praktyki, obserwacji i studiów. Nieumiejętnie stosowane polewanie może nie dać rezultatów pozytywnych lecz nawet przynieść poważne szkody organizmowi. Natomiast dobrze stosowana metoda daje zdumiewające wyniki, choć nie wszystko można za pomocą jej leczyć.

Sam dr Zniniewicz podsumowując wyniki 50 lat swoich badań pisał (w 1951 r.): „Hydroterapia (wodolecznictwo) nie ma być konkurencją dla innych sposobów leczenia, ale jest przeznaczona dla rozszerzenia granic możliwości leczniczych. Właściwą domeną hydroterapii w obecnym stadium jej rozwoju są różne nerwice, psychonewrozy, stany lekowe, następstwa choroby serca i układu krążenia, neuralgie, przewlekłe choroby przewodu pokarmowego — nie wyłączając choroby wrzodowej, żółtaczki i dywusztynicy, chrońnicze nieżyty oskrzeli, dyshazwie oskrzelowe, cięższe przypadki cukrzycy i szczy mocznicowe (artretyzm), zaburzenia w czynności tarczycy (choroba Basedowa)”.
Fot. W. Czarnecki

Inne schorzenia w zasadzie nie cofały się pod wpływem leczenia wodą, jakkolwiek czasem uzyskiwano poprawę. Znaczący należy, że u dra Zniniewicza szukało pomocy dużo ludzi, którzy jej gdzie indziej nie znaleźli. I w tym leży również zasługa metody. Choć cierpienia nie zawsze były groźne, pozosta-



Fot. W. Czarnecki
Dr Jan Zniniewicz

wały niemniej bardzo przykre i dokuczliwe. Oto typowe przykłady:

Pacjent T. przeprowadzał 3-krotną kurację metodą dr. Zniniewicza. Z tych pierwsza przyniosła całkowity rezultat. „Przez 10 lat — cytując jego słowa — cierpiałem na nieznosne poty, skarpety po 1 dniu używania prawie gnily. Dolegliwość tę, która była dla mnie bardzo dokuczliwa, a dla otoczenia nieprzyjemna, pragnąłem usunąć leżąc u wielu lekarzy. Przeważnie zapisywali mi formalinę

i zasypkę z talkiem, a poprawy w tym względzie nie dostrzegałem. Wreszcie przeprowadziłem kurację u dr. Zniniewicza, na którą złożyło się 30 polewań i po czasie minęło już dwadzieścia kilka lat i wdzienne wspominać człowieka, co odtąd mi cierpienie, z którym wprowadziłem życie i pracować można, lecz jest ono prawdziwą udręką w życiu codziennym. Po latach przeprowadziłem jeszcze w innym celu dwie kuracje, które dały dobre wyniki, lecz mniej radykalne jak pierwsza kuracja. Szczegółnie po drugiej kuracji odzyskałem tak czerstwe siły, że czułem się przez 3 lata jak nowonarodzony człowiek”.

A teraz inny przypadek:

Pacjent 38-letni o wadze 170 kg — obłożnie chory — z powodu silnej niedomogi serca i nerki po 4-dniowym przygotowaniu medykamentami rozpoczął kurację wodoleczniczą. Po upływie 5 tygodni pacjent stracił 29 kg na wadze. Chory pod koniec kuracji mógł tańczyć, co dowodzi również znacznej poprawy serca. Dodać należy, że pacjent prócz zabiegów wodoleczniczych przestrzegał diety, odciążającej. Po upływie roku pacjent czuł się również dobrze.

Przytoczone przypadki są tylko poglądowym przedstawieniem skuteczności metody dra Zniniewicza w niektórych schorzeniach. Dokładniejsze przedstawienie teorii leczniczej i działania metody wykracza poza ramy niniejszego artykułu.

Dr Zniniewicz zmarł w pełni świadomości. Jedyną troską i ostatnią wolą jego było niesienie pomocy drugim i dlatego do ostatniej chwili życia czynił starania o zapewnienie sobie kontynuatorów swej metody.

System Wiliamsa-Lysenki na polach Wielkopolski

Na jednej z ostatnich konferencji kierowników Państwowych Gospodarstw Rolnych w Poznaniu o. marowano stosowanie systemu trawopolnego, tej wielkiej zdobyczy agronomii radzieckiej, która znacznie podnosiła produkcję kultur zbożowych. Na polach radzieckich system ten stosowany jest w myśl dekretu Rady Ministrów już oż 1948 roku, dając doskonałe wyniki.

Na czym polega istota nowego systemu?

Twórca jego Wasyli Wiliams (1863—1939) wykazał, że gleba jest bardzo skomplikowaną częścią skorupy ziemskiej i wielką w niej rolę odgrywa nie tylko proces naturalnego wietrzenia gruntu, lecz również świat roślinny i zwierzęcy, klimat i układ geologiczny miejscowości. Badał on glebę w jej nieustannym rozwoju, w jej zależności od otaczających ją warunków. Dla podniesienia urodzajności gleby opracował tzw. trawopolny system, polegający na wsiewaniu razem ze zbożem wieloletnich traw i motylkowych, (koniczyna, lucerna, komonica), co w połączeniu z nowym sposobem uprawy roli i stosowaniem systemu ochronnych pasów leśnych przyniosło nadzwyczajne wyniki. Wiliams wychodził z założenia, że im więcej istnieje życia na tym czy innym odcinku gleby, tym wyższy jest ogólny urodzaj. Uczony radziecki śmiało stwierdził, że można polepszyć urodzaj

gleby do bardzo wysokich granic. Udowadniając w praktyce swój system, zadał on cios teoriom neomaltuzjanizmu, które domagały się redukcji urodzin na tej podstawie, że ziemia rzekomo wyjaławiając się, wkrótce nie będzie mogła wyżywić ludzkości.

Badania Wiliamsa nad strukturą gleby stanowią nieoceniony wkład do współczesnej agronomii. Na kuli ziemskiej znajduje się mnóstwo gatunków gleb: czarnoziem, czerwonoziem, gleby torfiaste, kwaśne, słone itd. Wszystkie te gleby są wynikiem procesów fizycznych i chemicznych, odbywających się nieustannie w glebie w zależności od warunków środowiska. Różnice te zależne są od długości procesu powstawania gleby i od rodzaju klimatu. Czarnoziem rozwija się w innych warunkach klimatycznych niż gleba w strefie nieczarnoziemnej. Tam, gdzie obecnie znajduje się czarnoziem, roślinność oddziaływała na glebę przez dłuższy czas i nagromadziła w niej znaczne żyzne pokłady. Decydującym czynnikiem kształtowania się struktury gleby jest życiodajna działalność roślin i współżycie z nimi świat mikroorganizmów.

Teorię Wiliamsa rozwinął i uzupełnił Lysenko. Skorygował on niektóre twierdzenia Wiliamsa, jak na przykład o nierentowności stosowania nawozów sztucznych na niestrukturalnych glebach, skorygował ujemny stosunek do kultury zbóż ozimych. Dziś metodę Wiliamsa stosuje się w zależności od konkretnych warunków produkcji rolnej w danej miejscowości. System uczono radzieckiego przyjął się w kołchozach i sowchozach, podnosząc urodzajność pól kołchozowych i tym samym przyczyniając się do ogólnego podniesienia rolnictwa.

Wiliams w czasie obchodu 50-lecia jego pracy naukowej w 1935 roku oświadczył, że: „Marzeniem jego jest, aby dożył tych dni, gdy hektar kołchozowy dawać będzie 50 cetnarów pszenicy”. Cyfra ta wydała się wielu rolnikom fantastyczną. Jednakże minęło zaledwie kilka lat i altajska kołchozownica Siergiejewa zebrała z 1 ha nie 50, a pełne 100 cetnarów pszenicy. W 1940 roku inż. agronom Karpow w kraju krasnojarskim w kołchozie „Droga do socjalizmu”, przeprowadzając specjalne doświadczenia, pobit rekord Siergiejowej i z 1 ha zebrał, stosując metodę Wiliamsa, 696 pudów pszenicy, to jest około 112 cetnarów. Takiego urodzaju nie zanotowano dotychczas nigdzie na świecie.

Naród radziecki wdzięczny Wiliamsowi, nazwał go „starszym agronomem Związku Radzieckiego”. Wiliams był czynnym budowniczym socjalizmu i wychował całe pokolenie agronomów radzieckich. Udoskonalona jego metoda przez Łysenkę, przeniesiona na grunt Polski, wzbogaci nasz kraj jeszcze w jedno z cennych doświadczeń radzieckich.

Fr. E.

W 85 rocznicę śmierci H. Trąpczyńskiego

Atak nadleśniczego na Poznań w 1846 r.

Ludwik Gomolec

Patrząc z wielkiej historycznej perspektywy — pisał przed 50 lat historyk dr Bronisław Dembiński — ufamy, że nie zginie, co w narodzie tkwi naprawdę wielkiego, co jest istotą jego bytu, co wiąże z głęboko i powszechnie odczuwaną potrzebą — pokój i sprawiedliwość. Do takich nie ginących w pamięci pokoleń narodu polskiego, walczącego dziś o pokój i sprawiedliwość społeczną, należy zaliczyć prawie zapomnianą postać dzielnego i śmiałego bojownika, skromnego nadleśniczego zaniezmyskiego Hipolita Trąpczyńskiego, zmarłego przed 85 latami.

Główna działalność patriotyczna i społeczna Trąpczyńskiego przypada na okres polskiej Wiosny Ludów (1840—48).



Uwolnienie polskich więźniów w Moabit. R. 1848.

Nadleśniczy zaniezmyski wiąże w swoim działaniu w roku 1846 walkę narodową z walką o społeczne wyzwolenie ludu polskiego w W. Księstwie Poznańskim. Należy on do obozu demokratycznego i był gorliwym zwolennikiem w tym czasie hasła polskiego socjalizmu utopijnego. Bierze czynny udział w przygotowywanym powstaniu ludowym w Wielkopolsce w 1846 r.

Plan konspiracyjny powstania odkryła przedwcześnie policja pruska, co pociągnęło za sobą masowe aresztowania wśród szlachty, mieszczaństwa i chłopów, m. in. samego wodza przygotowującego się do powstania Ludwika Mierosławskiego. Z tego powodu nie doszło do wybuchu powstania lu-

dowego w Wielkopolsce. Miał ono być związane z poderwaniem się do czynu zbrojnego ludności Krakowa i Galicji. Wiadomość o aresztowaniu naczelnego wodza obu powstań nie dotarła na czas do Krakowa, gdzie 22. II. 1846 r. doszło do wystąpienia zbrojnego przeciw zaborcy austriakiemu.

Pierwotny plan przygotowywanego powstania wielkopolskiego w r. 1846 przewidywał m. in. opanowanie cytadeli poznańskiej, wybudowanej w r. 1837. W tym celu miał się udać Alfons Białkowski z Pierzchną z oddziałami powstańców pierwszego poboru z południowej i wschodniej części powiatu średzkiego do Wrześni jako rejonu koncentracji, skąd wraz

niektórzy, spiskowcy, przebywający jeszcze na wolności, opanować miasto i fortecę poznańską, by uwolnić uwięzionych towarzyszy i kontynuować powstanie na terenie Wielkopolski. Organizatorem tego napadu na Poznań był Władysław Niegolewski, a wykonawcą nadleśniczy Hipolit Trąpczyński. Niegolewski otrzymał od porucznika Wilhelma Mačkiewicz a odcisk woskowy klucza do bramy fortecy na Winiarach i według tego klucza on dorobić klucze. Mačkiewicz czynny był z Niegolewskim przy zgromadzeniu broni z Bolesławem między Szelągami i Naramowicami. Współorganizatorem tego napadu na Cytadela był również ślusarz Józef Lipiński i Chamski. Pomocnikami w przygotowywaniu napadzie na fortecę poznańską byli okoliczni chłopcy i robotnicy poznańscy, zatrudnieni przy rozmaitych pracach w samej cytadeli.

Rewolucyjni pod dowództwem Hipolita Trąpczyńskiego mieli w napadzie nocnym z 3. na 4. III. 1846 r. opanować cytadela, miasto i drewniany most na Walecie w Chwaliszewie. W tym celu Trąpczyński miał zorganizowany ochotniczy oddział strzelców w okolicy Zaniemyśla, składający się z leśniczych, borowych gajowych, chłopów, rzemieślników i studentów. Z tym do oddziału wyprawił się na kilku wozach wieczorem 3 marca do Poznania, aby obsadzić most na Chwaliszewie. Zdrada i nieostrożność udaremniły przeprowadzenie tego śmiałego planu, gdyż władze wojskowe pruskie były uprzedzone o przygotowywanym napadzie na Poznań. Oddział Trąpczyńskiego stoczył zażarty bój nocny o zdobycie mostu. Na krótki czas most został opanowany przez powstańców, lecz ukryte w pobliżu wojsko pruskie otworzyło silny ogień. Most został przez Niemców odbity. Napad się nie powiódł. Ciężko ranił dowódca rewolucyjnego oddziału został wzięty do niewoli. Podczas tego śmiałego ataku poległo trzech powstańców i dwóch Niemców. Między zabitymi znajdował się Paternowski. Zwłoki poległych Polaków pochowano na cmentarzu farnym i przez długie lata utrzymywały mogiły powstańców, zdobiąc je stale kwiatami, młodzież gi-



Winiary, Naramowice, Chwaliszewo, Poznań, 1846-48. Schemat

mnazjalna Poznania. Tak po stronie polskiej jak niemieckiej było kilku rannych.

Wszyscy organizatorzy i schwytni uczestnicy wyprawy zostali osadzeni w więzieniach i wytoczono przeciwko nim proces. Wielu z nich skazano na śmierć, innych na długoletnie więzienie. Hipolita Trąpczyńskiego sąd w Berlinie skazał na 25 lat ciężkiego więzienia. Rewolucja demokratyczno-burżuazyjna w Berlinie uwolniła go z więzienia w marcu 1848 r.

Powróciwszy do swych stron rodzinnych, pracuje nad kulturą leśną i jest współzałożycielem Wydziału Leśnego w Centralnym Towarzystwie Gospodarczym w Wielkopolsce. Wydał drukiem pracę pt. „Przyroda i przemysł” w Poznaniu 1856 r. oraz rozprawę „Owady lasom szkodliwe”. Jako nadleśniczy zaniezmyski pierwszy projektował założenie wraz z Ronkiem, Nowackim i Michalskim szkoły leśnej. W swych wycieczkach naukowo-badawczych przemierzył i oszacował większość wielkopolskich kompleksów leśnych, tworzył plany racjonalnego gospodarowania i zadrzewiania zaniedbanych wtedy lasów wielkopolskich. Zmarł 17. V. 1867 r. Syn jego Władysław okazał się również dzielnym żołnierzem, walcząc w różnych oddziałach powstania styczniowego 1863 r., często był więziony i zginął w ofiarnej walce o wyzwolenie narodowe w roku 1863.

Przez 3400 mil morskich prowadzi Wielka Droga Północna

Niebywałe osiągnięcia Związku Radzieckiego na polu przeobrażenia przyrody i wykorzystywania jej w jak najbardziej racjonalny sposób dla ludzkich potrzeb, od szeregu już lat ścigają na siebie uwagę ludzi na całej kuli ziemskiej. Otwarcie kanału Wołga — Don, które znalazło swój kulminacyjny punkt w stworzeniu nowego morza — Cymańskiego, stanowiło główny ośrodek zainteresowania się tą gigantyczną akcją ujarzmiania wód, jaką prowadzi kraj zwycięskiego socjalizmu. I dlatego nie trzeba się dziwić, że wydarzenia związane z regulacją i rozbudową sieci wód śródlądowych Związku Radzieckiego usunęły w cień i odwróciły uwagę od innej, na ołbrzymią skalę prowadzonej akcji, jaką jest praca nad użytkowaniem północnych wód podbiegunowych, tzw. Wielkiej Drogi Północnej. Warto o tym przypomnieć i to właśnie teraz, kiedy w okresie letnim rozpocznie się tam krótkotrwały, bo zaledwie 3 do 4 miesięcy liczący sezon żeglugi.

Nazwa Wielkiej Drogi Północnej lub Północnej Drogi Morskiej (a w dawnych czasach: Północno-Wschodniego Przejścia) określa się szlak żeglutowy, prowadzący z Morza Barentsa wzdłuż wybrzeży syberyjskich do Cieśniny Beringa i dalej, na Ocean Spokojny. Szlak ten ma około 3400 mil morskich (czyli ca. 6300 km) długości i stanowi najkrótsze połączenie radzieckich portów północno-zachodnich (Murmańsk i Archangielsk) z portami Oceanu Spokojnego. Przejście tej trasy trwa 30 do 40 dni i możliwe jest tylko w porze letniej, kiedy wzdłuż wybrzeży pęka okowa lodowa, spowijająca wody arktyczne od jesieni do późnej wiosny.

Ołbrzymie znaczenie tego szlaku żeglutowego polega jednak nie tylko na połączeniu Murmańska i Archangielska z Władywostokiem i innymi radzieckimi portami Pacyfiku. Oprócz bowiem stworzenia najkrótszego połączenia morskiego między zachodnimi i wschodnimi polami Związku Radzieckiego, także i możliwość eksploatacji niezmiernych bogactw naturalnych Syberii stanowi istotną wartość Wielkiej Drogi Północnej. Tragedia Syberii z punktu widzenia geograficznego i — co za tym idzie — ekonomicznego był zawsze fakt, że wszystkie większe rzeki syberyjskie, jak Ob, Jenisej, Lena i Kolyma, uchodzą do Oceanu Lodowatego, który był gospodarczo morzem niejako martwym, niezwykle trudnym do wykorzystania. Wobec zaś niemożności korzystania z najprostszej w zasadzie i najtańszej drogi komunikacyjnej wodnej, cały ciężar eksploatacji Syberii spadł na drogę bite i — w ostatnich dziesiętnościach lat — żelazne, co nie mogło dać zadowalających wyników. Trzeba bowiem pamiętać, że na ołbrzymich przestrzeniach Syberii sieć komunikacyjna jest bardzo rzadka. Z tych przyczyn możliwości eksploatacji syberyjskich bogactw naturalnych, takich jak rudy żelazne i węgiel, drzewo, ryby i futra, były nikłe. Z tych samych przyczyn licznych bogactw w ogóle nie eksploatowano, a niektóre z bogactw mineralnych — jak np. ropa naftowa — nie były nawet do niedawna odkryte. Wszystkie to zmieniło się dzięki Wielkiej Drodze Północnej. Dopiero możliwość korzystania z Wielkiej Drogi Północnej i wpadających do niej rzek syberyjskich umożliwiła gospodarce wykorzystanie Syberii.

A jak doszło do odkrycia Wielkiej Drogi Północnej? Aczkolwiek myśl żeglugi do Indii i Chin wokół Syberii północną drogą morską narodziła się w Europie dopiero z początkiem XVI wieku, to przecież świadomość istnienia takiej drogi była co najmniej o kilka wieków starsza. Kto wie, czy pierwszymi europejskimi odkrywcami tej drogi nie byli nowogrodzcy, mieszkający założonego przez Wargów Nowogrodu, o których kroniki wspominają, że już w XI w. przekroczyli w swym marszu na wschód łańcuch gór uralskich oraz pojawili się na wybrzeżu Oceanu Arktycznego, koło Peczory. Później pod koniec średniowiecza, coraz częściej napotyka się wzmianki o istnieniu takiej drogi morskiej. Nazywano ją Cieśniną Anian i zdawano sobie sprawę z tego, że dzieli ona Azję od innego wielkiego ładu. W połowie XVI wieku rozpoczyna się wyprawy zmierzające do przeplięcia tej drogi. Z historią ich związane są nazwiska wielkich żeglarzy, odkrywców i badaczy, takich jak Barents, Diezniew, Bering, Lomonosow, Nordenskiöld, Nansen, Makarow, Siedow i Wilkiki. Z nich dwaj przebyli ją w kierunku wschodnim: kozak Siemjon Diezniew w latach 1648/49 i Szwed Nordenfjeld w 230 lat później, jeden zaś — Wilkiki — w kierunku odwrotnym w latach 1914/15. Ale o normalnym korzystaniu z tej trasy oczywiście mowy być nie mogło.

Dopiero po Rewolucji Październikowej projekt wytyczenia stałego szlaku żeglutowego wzdłuż północnych wybrzeży syberyjskich znalazł całkowite poparcie władz radzieckich, które nie szczędziły środków, by umożliwić badaczom Arktyki, marynarzom i lotnikom, konstruktorom okrętów i wszystkim zainteresowanym pracownikom nauki wykonanie tego wielkiego zadania. Związkiem w ostatnich dwudziestkach lat akcja ujarzmiania wód podbiegunowych nabrała prawdziwej mocy, została planowo zorganizowana i przeprowadzona.

Ze szczególnie wielkich, przodujących osiągnięć tego okresu, należy wymienić zwłaszcza trzy wyprawy badawcze, które swego czasu nabrały światowego rozgłosu i przyniosły nadzwyczaj bogate rezultaty. Były to: wyprawa statku „Czeluskin” (w latach 1933/34), wyprawa lotnicza do bieguna, która dała początek dalszej wyprawie czterech badaczy na krę przez Ocean Arktyczny (1937 rok) oraz przeszło dwa lata trwający dryf w lodach lodolamacza „Siedow” (1937 — 40).

Obecnie, kiedy nad bezpieczeństwem żeglugi na trasie z Archangielska do Władywostoku czuwają bezustannie lodolamce, samoloty, radiostacje i radiolatornie, Wielka Droga Północna jest jednym z najważniejszych szlaków żeglutowych

Wielka Droga Północna

Wielka Droga Północna

Wielka Droga Północna

Wielka Droga Północna

Wielka Droga Północna

Wielka Droga Północna

Elektryczne ryby dysponują radarem

Gdyby komuś przyszło na myśl postawić pytanie: „Kto zostanie zwycięzcą w spotkaniu rekina z elektrycznym węgorzem?” — na pewno nikt z nas, nawet dość biegły w tej dziedzinie, nie pokwapiałby się ze stanowczą odpowiedzią. I nie dziwnego, gdyż jeżeli chodzi o elektrycznego węgorza, jak również o innych przedstawicieli tego rodzaju ichtiofauny, to dysponują one w swoim elektrycznym organie dość osobliwą siłą. Z całą pewnością można powiedzieć, że ryby elektryczne należą do najwęższych i do tej pory najmniej zbadanych organizmów żywych.

Jak budowała przyroda baterie elektryczne

Spotykamy je w rozmaitych środowiskach wodnych, rozsyłanych na całym globie ziemskim. Są więc w największej rzece — Amazonce, znajduje się je w wodach wybrzeży Ameryki Południowej, jak również w morzu Śródziemnym i w Nilu. Jest znanymi wszakże i nie podlegającym dyskusji faktem, że wszystkie ryby o wspomnianych właściwościach, nie należą do jednej rodziny. Rozwój ich szedł dla każdej z nich różnymi drogami. To znaczy, że natura sama rozwinęła w nich owe elektryczne organy. Jeszcze inaczej i dokładniej — że rozwinęły

Czy będziemy pić polską herbatę?

Herbata, znana i uprawiana była w Chinach już na parę tysięcy lat przed naszą erą. Chiny były głównym dostawcą herbaty i jednocześnie największym jej konsumentem. W ostatnim stuleciu kapitałiści angielscy i holenderscy rozwinęli do ogromnych rozmiarów przemysł herbaciany w Indiach, na Ceylonie i w Indonezji, choć uprawa tego krzewu na początkach XIX wieku nie była tam jeszcze znana.

Produkcja herbaty na świecie wyrażała się przed wojną ilością 900.000 ton, z czego na Chiny wpadało 49 proc., na Indie — 22, na Ceylon — 13, Indonezję — 9, inne kraje — 7 procent.

Krzewy herbaciane plantowane są w Chinach na różnych glebach, wysokościach geograficznych i w różnych temperaturach: począwszy od tropikalnej aż do —12 stopni C.

Rosja carska sprowadzała herbatę z Chin, Indii i Ceylonu w ilości ponad 75.000 ton rocznie. Już w pierwszych latach po Rewolucji Październikowej powstają plantacje herbaciane początkowo w zachodniej, a później we wschodniej Gruzji. Obecnie zajmują one dziesiątki tysięcy hektarów. Plantacje rozwijają się z roku na rok i znad brzegów morza przesuwają się coraz wyżej na pochyłości wzgórz. Powstają nowe fabryki, koczoloz i technika uprawy herbaty. Specjaliści tej kultury przeprowadzają wciąż nowe doświadczenia, by przesunąć plantacje na Zakarpacie i przystosować krzew do nowych warunków klimatycznych.

Dotychczasowe próby dały dobre wyniki. Robiono już także próby hodowli krzewu herbacianego w Moldawii, choć jej klimat nie jest odpowiedni dla tej rośliny: lata zbyt suche, a zimy ostre oraz niedostateczne opady śnieżne. Posadzone więc krzewy w lesie. Na 5-metrowej szerokości pasu, przegrodzonego 20 metrami lasu, zakładano plantacje herbaciane i przekonano się, że w ten sposób uzyskuje się wystarczające dla herbaty warunki bytowania w klimacie moldawskim. Rozwiązano więc trudności kultury herbacianej przez zmianę warunków klimatycznych i dostosowanie ich do potrzeb tej rośliny. W dużej mierze przyczyniła się do tego żmudna, uparta praca nad uprawą samej herbaty. Wiele w tej sprawie będzie jeszcze miało do powiedzenia miczurinowska agrobiologia.

Plantacje herbaciane przesuwają się więc coraz bardziej na zachód i nasuwa się tu pytanie, czy w naszych warunkach klimatycznych nie moglibyśmy gdzieś w części południowej pokusić się o uprawę herbaty? Czyżby nie nadawała się do tego najlepiej Zielona Góra, gdzie z takim powodzeniem zaskłaniała się u nas winna latorość, roślina także bądź co bądź południowa i wymagająca specjalnie łagodnego klimatu?

Wszystkich jednak ryb elektrycznych, ten dziwny organ, niewątpliwie wykazał swoją znakomitą przydatność, gdyż w ewolucji osiągnął dużą doskonałość, obejmując swoją wagą połowę ogólnego ciężaru ryby. Prawie nierozstrzygnięta pozostała jednak zagadnienie, skąd i w jaki sposób wziął początek sam organ elektryczny. Nawiasem mówiąc, również Karol Darwin nie miał się nad tym problemem napocić. Jest oczywiste, że z punktu widzenia przydatności biologicznej, dopiero wówczas ten organ posiada pewne znaczenie, gdy wyładowania były tak silne, że mogły wroga unieszkodliwić, albo ofiarę wprowadzić w odrętwienie.

Wpiew radar —
potem broni

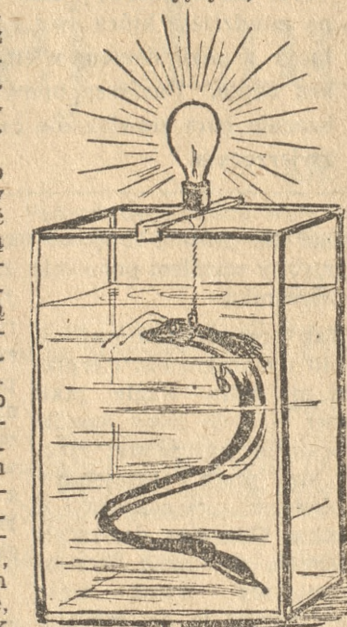
Najnowsze badania naukowe w tej dziedzinie wykazują, że elektryczny organ o-wych ryb spełnia dwójakie funkcje. I to całkiem różne. Z jednej strony ogólnie znana funkcja — broni, a z drugiej strony, co do tej pory było nieznane — funkcja aparatu radarowego. Tak wygląda, jakby ryby elektryczne uzyskałyby orientację przez okresowe wysyłanie ze swego organu radarowego, pewnych fal elektrycznych. W momencie napotkania przeszkody, odrzucone fale powracają z powrotem. Podobnie jak fale radarowe wysyłane ze specjalnego aparatu, wbudowanego w samoloty lub okręty. Ryba reaguje w sobie właściwy sposób. Można więc przyjąć, że ta

W niniejszym szkicu pomówimy o jednej z najbardziej interesujących tajemnic historii — egzotycznej Wyspie Wielkanocnej. Leży ona ok. 3500 km na zachód od wybrzeży Chile jako mały punkt, zagubiony w bezmiarze Oceanu Spokojnego i ostatni „odprysk” archipelagu Polinezji.

Odkryta w Wielkanoc 1722 (stąd nazwa Wielkanocna) przez Holendra Roggoveena, wzbudziła z czasem żywe zainteresowanie. Roggoveen znalazł na niej mnóstwo ołbrzymich kamiennych posągów i stawiał pytanie, kto i jak potrafił wykonać i ustawić takie kolosy.

Późniejsze ekspedycje naukowe, zwłaszcza angielskie, ze zdumieniem patrzyły na te dziwne ślady tajemniczej, odwiecznej kultury. Skrupulatne badania stwierdziły, że na wyspie znajduje się 260 wykonanych i ok. 150 nie wykonanych kamiennych figur — monolitów o wysokości 16—23 m. Korpusy ich są zaledwie naszkicowane, natomiast głowy dość starannie wykonane. Część z nich stoi nad brzegiem morza, jakby na straży obszernych pól pogrzebowych, część tworzy szpalę wzdłuż trzech dróg zbiegających się u krateru wygasłego wulkanu. W kraterze, nad jeziorkiem widać jeszcze wieniec tych kolosów, zbocza zaś krateru są ołbrzymim kamieniem i warsztatem rzeźbiarskim, pełnym na pół ociosanych lub zaledwie naszkicowanych posągów. Ich ogrom i tajemniczy wygląd sprawia, według opinii badaczy, niesamowicie i niezwykle wra-

właśnie funkcja była pierwotnym przeznaczeniem elektrycznego organu. Dopiero później, w dalszych stadiach ewolucyjnych, rozwi-



Wydawałoby się więc, że rozwiązano już tajemnicę elektrycznego węgorza. Ale to nie wszystko jeszcze. Pozostaje np. nierozwiązane zagadnienie rozwoju organu elektrycznego ryby w swej wczesnej młodości. A jak sobie nadto wytłumaczyć taki fakt, że ta sama ryba jest zabezpieczona przed swoimi własnymi uderzeniami. Również ryba elektryczna nie jest wcale niebezpieczna dla drugiej takiej samej ryby. Wiele więc pozostało jeszcze problemów nie zbadanych w tej dziedzinie. Dla naszych wędkarzy, wielkich amatorów węgorzy, jedno jest pocieszające, że występujące w naszych rodzimych wodach okazy tego gatunku, nie „uderzają”. Wszyscy bowiem wędkarze musieli by wówczas nosić na dłońach gumowe rekawiczki, co jak wiadomo, nie jest wygodnym ani praktycznym.

Najwięcej ciekawym, a równocześnie prostym w swej precyzji jest sposób, jakim ryba elektryczna posługuje się, aby każda oddzielna komórka galwaniczna włączywała się równocześnie. Centralą dyspozycyjną dla owych komórek jest — mózg. Przestrzeń jednak, którą musi przebyć impuls wysyłany z mózgu do nerwów — aby dojść do poszczególnych komórek — jest w zależności, od odległości owych poszczególnych komórek od mózgu, różna. Ryba, tak przemysłnie urządziła się, że w każdym nerwie, który prowadzi do następnych komórek, szybkość owego impulsu zostaje celowo opóźniona. W tym systemie „świadomego” dysponowania własną energią, różnorodne długości prądów kompensują się. Wszystkie komórki reagują więc natychmiast i łączne napięcie osiąga 500 volt.

Tylko w okolicach podzwrotnikowych

Wydawałoby się więc, że rozwiązano już tajemnicę elektrycznego węgorza. Ale to nie wszystko jeszcze. Pozostaje np. nierozwiązane zagadnienie rozwoju organu elektrycznego ryby w swej wczesnej młodości. A jak sobie nadto wytłumaczyć taki fakt, że ta sama ryba jest zabezpieczona przed swoimi własnymi uderzeniami. Również ryba elektryczna nie jest wcale niebezpieczna dla drugiej takiej samej ryby. Wiele więc pozostało jeszcze problemów nie zbadanych w tej dziedzinie. Dla naszych wędkarzy, wielkich amatorów węgorzy, jedno jest pocieszające, że występujące w naszych rodzimych wodach okazy tego gatunku, nie „uderzają”. Wszyscy bowiem wędkarze musieli by wówczas nosić na dłońach gumowe rekawiczki, co jak wiadomo, nie jest wygodnym ani praktycznym.

Opracował M. J.

Tajemnica Wyspy Wielkanocnej Dr T. Nożyński

Historia świata kryje jeszcze wiele nie wyjaśnionych zagadnień. Niektóre udaje się powoli rozwiązać, inne, mimo wysiłków nauki, pozostaną zapewne na zawsze nieznane. Problemy te wywołują dyskusje i spory i prowokują mniej lub więcej prawdopodobne hipotezy. Do takich zagadek historii należą m. in. Atlantyda, tajemniczy, zaginiony ład, który nadał nazwę oceanowi Atlantyckiemu lub bliższą nam legendarną Winetę, zatopiony gród nadbałtycki itd. Były one tematem licznych prac historycznych i etnologicznych, powieści i oper (np. „Legenda Bałtyku” F. Nowowiejskiego), lecz są naukową zagadką.

W niniejszym szkicu pomówimy o jednej z najbardziej interesujących tajemnic historii — egzotycznej Wyspie Wielkanocnej. Leży ona ok. 3500 km na zachód od wybrzeży Chile jako mały punkt, zagubiony w bezmiarze Oceanu Spokojnego i ostatni „odprysk” archipelagu Polinezji.

Odkryta w Wielkanoc 1722 (stąd nazwa Wielkanocna) przez Holendra Roggoveena, wzbudziła z czasem żywe zainteresowanie. Roggoveen znalazł na niej mnóstwo ołbrzymich kamiennych posągów i stawiał pytanie, kto i jak potrafił wykonać i ustawić takie kolosy.

Późniejsze ekspedycje naukowe, zwłaszcza angielskie, ze zdumieniem patrzyły na te dziwne ślady tajemniczej, odwiecznej kultury. Skrupulatne badania stwierdziły, że na wyspie znajduje się 260 wykonanych i ok. 150 nie wykonanych kamiennych figur — monolitów o wysokości 16—23 m. Korpusy ich są zaledwie naszkicowane, natomiast głowy dość starannie wykonane. Część z nich stoi nad brzegiem morza, jakby na straży obszernych pól pogrzebowych, część tworzy szpalę wzdłuż trzech dróg zbiegających się u krateru wygasłego wulkanu. W kraterze, nad jeziorkiem widać jeszcze wieniec tych kolosów, zbocza zaś krateru są ołbrzymim kamieniem i warsztatem rzeźbiarskim, pełnym na pół ociosanych lub zaledwie naszkicowanych posągów. Ich ogrom i tajemniczy wygląd sprawia, według opinii badaczy, niesamowicie i niezwykle wra-

Tak więc mimo wieloletnich wysiłków i pracy uczonych nie udało się rozwiązać zagadki i posągi milczą nadal, strzegąc zazdrośnie tajemnicy swej wyspy.

Z D R A J C A

Dawniej nie była moja twarz pokiereszowana i nie zakrywałem jej. Nie byłem również tak przytłoczony i ponury. Myślistwo było jedyną radością w moim prostym żywocie. Właściwie myślistwo stało się przyczyną zburzenia mego życia. Oszpecilo mi twarz.

Zdrętwieliśmy ze zgrozy, gdy nasz gospodarz Usun Sulejman zdjął przepaskę z twarzy. Brak było prawego policzka, a od skroni aż do szczęki przeświecały kości.

— Pewnego razu jesienią miałem zamiar przeciąć doświadając się w wyschniętej studni. Ściany były z gładkiego kamienia i nie widziałem żadnej możliwości wydostania się na zewnątrz. Pelen wątpliwości przykucałem na dnie. Nagle zaświeciło coś w ciemnościach i dwoje płonących oczu przeświadczyło mnie wzrokiem. Przede mną znajdował się olbrzymi wąż. Jak skamieniali wpatrywaliśmy się w siebie. „Chyba go zastrzelić” — przeniknęła mnie myśl. Goręcej wzrok węża stawał się łagodniejszy a mimo to strach zwiększał się we mnie. Wąż przypłynął bliżej, zwinął się w spłoty i podnosił głowę wpatrywał się we mnie. Trzeba mieć stalowe serce, aby znieść wzrok węża.



Gad nie posuwał się ani w przód ani w tył. W końcu położył głowę na moich kolanach. Przypuszczałem ciepła mego ciała przyciągała go. Zastanawiałem się więc, jakby ją wykorzystać. Przykryłem jego głowę skrajem swego odzienia, a on pod wpływem ciepła — zasnął. Zimno, które promieniowało od niego, wpadło mnie w odrętwienie i uspokoiłem się. Niebawem otworzył studni po ciemniał i mrok mnie ogarnął.

Ta noc wydawała mi się długa jak rok. Po długim i spokojnym śnie wąż przebudził się. Podniósł głowę. Następnie otworzył paszczę i zaczął lizać moje ręce swoim szorstkim, rozdwojonym językiem. Nabrałem otuchy. Głaskałem go po głowie i rozplakałem się. Odczuwałem, że cała trwoga mnie odeszła. Około południa, gdy słońce zaczęło nagrzewać, wąż wyprostował się na całej swej długości. Stał na ogniu i teraz dopiero dostrzegłem jak długi był on. Wyciągnął się do zwisających nad otworem gałęzi, zaczęły się o nie wydostać z jamy. Podniosłem się i starałem również tego do-

Wachtang Ananjan należy do czołowych pisarzy radzieckich. Jego książka „Na brzegu Sewanu”, (wydana w roku 1951 nakładem „Książki i Wiedzy”) ukazuje nam wieś kaukaską a na jej tle grupę młodzieży, która swą żądze odkryć i przegodłączy z pogłębianiem wiedzy politechnicznej dla dobra ogółu. Poniższe opowiadanie pt. „Zdrajca” obrazy nam powiązanie człowieka ze światem zwierzęcym.

konać. Na próżno. Zmęczony i przybity usiadłem ponownie w narożniku.

Tak przeszły dwa dni. Z głodu i z pragnienia cierpiałem nie mało. Nagle jakiś szmer — i do jamy wpadła z szumem kuropatwa, ratując się przed jastrzębiem. Skołowana przycupnęła w kątku. Gdy nas dostrzegła usiłowała się unieść, lecz ujarzmiający wzrok węża przygwoździł ją do miejsca. Wolno, nie spuszczaając z niej oczu, zbliżył się do niej wąż, chwycił za szyję i przyniósł do mnie. Zabiłem ptaka, wyrwałem mu uda, a pozostałą część wrzuciłem wężowi w rozwartą paszczę. Połknął wszystko wraz z pierzem i kośćmi.

Mimo to z głodu i z pragnienia wyłem jak baran i z rozpaczylem się wdrapać po murze. Mój sąsiad patrzył na mnie zdziwiony. Nagle podniósł się wysoko na swoim ogonie aż do zwisającej gałęzi, zaczęł o nią mocno i wisiał przez chwilę. Potem uniół ogon, uwiesił się na nim, głową w dół i wpatrywał się we mnie długo. Jak trąba słońca zwiślał wąż nad moją głową. Dopiero teraz uprzytomniłem sobie siłę jego ogona i pomyślałem, że przecież mógłby mnie z tej jamy wyciągnąć, gdybym się go mocno uchwycił. Przywarłem do niego. Notychmiast napiął się tułów, gada, zeszytywniał jak żelazo i uniół mnie powoli w górę. Jakbym na światło dzienne wyszedł z grobu. Cieszyłem się jak dziecko, gdy ujrzałem znowu nasze piękne łąki, srebrną wstęgę rzeki Araks, w dali nasze sadyby i z ko-



minów unoszące się dymy. Objąłem mego wybawcę i rozplakałem się. Odczuwałem, że zawrót głowy, a nogi od mowy mi postuszeństwa. Na pół żywy ruszyłem w drogę. Za mną czołgał się z podniesioną głową wąż. Spotkał się z nami i zastrzeliłem go. Wąż zwinął się natychmiast przerażony hukiem, a oczy mu zamigotały. Skoro jednak spostrzegł, że dałem mu go spojrzenie jego stało się z powrotem łagodne i uspokoiło się. Razem jak dwaj przyja-

ciele zbliżyliśmy się do zabudowań wsi. Ciemniało już, a stada bydła wracały z rykiem do zagrod przy naszczekiwanii psów. Gdy wąż posłyszał te odgłosy zatrzymał się. Na dobre. Rozstaliśmy się więc. Przy wejściu do wsi obróciłem się raz jeszcze, a wąż towarzyszył mi spojrzeniem, trzymając wysoko głowę w trawie.

Żona i dzieci powitały mnie ze łzami radości, gdyż we wsi rozeszła się wieść, że napadli mnie zbójcy, którzy grasowali u stóp Wielkiej Masisy.

Od tego czasu minął rok. Pewnego letniego i gorącego południa powstał we wsi szczególny gwar. Poszedłem się rozpatrzeć i spostrzegłem, że mieszkańcy wsi, starzy i młodzi, otoczyli czterech derwiszów. Jeden z nich grał na flecie, drugi potrzasał cymbalami, a pozostali dwaj nieśli z powagą kolorowe kuferki i wielkie żelazne klatki pełne węzów. Rozpostarli na rynku dywan i wypuścili swoje węże. Te zaczęły pełzać. Kobiety cofnęły się a dzieci podniosły krzyk. Były tam wszystkie gatunki węzów: bezbarwne jak kamienie Girsy, z płaskimi głowami i czarne jak popiół, szerokość, jadowite, rozmaicie ubarwione, mieniące się i pokratkowane jak szachownica. Przy dźwiękach fletu i cymbali węże rozpoczęły zabawnie tańczyć. Jeden z derwiszów wziął jadowitego gada za głowę i okręcił nim swoją szyję. Następnie wsadził sobie jego głowę do ust. Kobiety krzyżały a derwisz usmiechał się spokojnie. Nagle jeden z wieśniaków odezwał się: „To żadne dziwy! Na pewno ma wyłamać jadowite zęby. To może każdy zrobić!”. „W takim razie przynieś mi koguta!” — odpowiedział derwisz. Mędek przyniósł koguta. Derwisz rzucił go przed węża. Ten odwrócił swą szyję, wyprostował się, a oczy zamigotały mu gniewem. Równocześnie zasyczał i ugryzł koguta w grzebień. Kogut skręcił się w mgnieniu oka i zdechł na miejscu.

„Zagrzebiecie dokładnie aby go psy nie pożarły” — powiedział derwisz i zaczął zbierać swoje węże. „Jeżeli u kogo w domu jest jakikolwiek wąż... kupimy go i uwolnimy was od gadów”.

„Węże nie są żadnym złem i przynoszą szczęście” — wmieszał się pewien starzec — „jak wówczas gdy jednemu z naszych sąsiadów, Usun Sulejmanowi uratował życie”.

„Oho czyż to możliwe?” Derwisz zaczął wypytywać o szczegóły wydarzenia, a oczy błysnęły mu z ciekawości.

„Daj mi tego węża Kardasz Sulejmanie — powiedział. W zdziwienie wprowadził mieszkańców Erywania, Tbilisi i Baku”.

„Byłbym zdrajcą, bracie derwiszu — powiedziałem — gdybym to zrobił”.

„Kardasz Sulejmanie — ciągnął derwisz dalej. Będę tego węża ochraniał; w jedwabach będę chował, bagdackim hurma będę go karmił i teherańskimi koryntkami. Bóg jeden wie jak on obecnie żyje. W głodzie i chłodziu... Przy mnie będzie mu dużo lepiej, Kardasz Sulejmanie. Będzie żył jak władca... Damy tobie za niego 10 tomanów!”.

„Za 10 tomanów można sobie kupić bawołu!” Zerwałem się i dobiełem targu. Za 10 srebrnych tomanów. Zadowolony derwisz przygotował się ze swymi pomocnikami do drogi. Im więcej zbliżyliśmy się do studni, tym mocniej biło mi serce. Czuliśmy, że popełniam podłą zdradę”.

Podeszliśmy na skraj jamy i derwisz zawiesił nad nią perski dywan w ten sposób, że promienie słoneczne odbijały w nim. Wąż wpatrywał się w bogate wzory jak zakłęty. Ukryty w gąszczu przyglądałem się temu, a serce mi ścisnęło. Teraz derwisz rozpoczął nucić monotonicznie jakąś melodię, uderzając do taktu w tamburin. Wąż wysunął głowę na zewnątrz i patrzył zaczarowany. Wówczas wyjął z kieszeni pewien błyszczący przedmiot i trzymając go przed wężem rozpoczął cicho grać na flecie. Urzeczony melodią uniół się



wąż w stronę dywanu, przysunął ku derwiszowi i położył mu głowę na kolanach. Tak zwałił go do klatki. Uciekłem, aby nie być świadkiem żalosnego losu milczącego stworzenia.

Zaledwie wąż znalazł się w klatce, derwisz przymknął szczelnie drzwiczki. Podeszedł teraz do mnie, wypłacił mi owe 10 srebrnych tomanów i powiedział: „Kardasz Sulejmanie, postarałem się o wyjątkowy okaz, a pieniądże zarobiłeś sprawiedliwie”.

Derwisze podnieśli klatkę, ciesząc się. Szliśmy obok siebie. Nagle wąż uniół lekko głowę i spojrzał we mnie przenikliwie. Wypężył się, jakby chciał się wydostać. Zrozumiał już, że to była moja sprawka. I podczas gdy ja zatrzymałem się jak przykuty, wąż przeszedł mnie straszny wzrokiem... i splunął mi w twarz. Wydawało się równocześnie jakby powiedział: „W taki to sposób nędzny zdrajco, dziękuję ci!”.

Ślina była jadowita. Wkrótce potem otworzyła mi się na twarzy rana, policzek zaczął jężyć i obnażył kość. To było moje dzieło. Moja zapała... Usun Sulejman zamilkł i dym wypuścił z fajki.

Spolszczył M. J.

„Kochane, dawne czasy...”

Henryk Barański

Kapryśne jest tegoroczne lato. Początek przynosi raz po raz niepocieszające wiadomości z różnych części kraju: tu pada, tam pada, a na ogół, poza kilkunastu dniami upału — zimno. Tegoroczne lato, jak dotychczas, nie popisało się.

Lecz skarga na niebo i pogodę nie jest współczesnym wymysłem. Tak było niemal w zaraniu wszelkich wakacyjnych poczynności, które mają znaczną tradycję, nawet literacką, w postaci wspomnień z wycieczek, korespondencji z uzdrowisk, a nawet rysunków i karykatur.

Jakże inaczej wyglądały nasze podróże wakacyjne dziś i dawniej. Współczesne środki lokomocji oddały cały urok z wypraw na zbiorowe letniska, dokąd się jechało jak pisze J. Słowacki w „Kurjerze Literacko-naukowym” (1838) kilku furami z zapasami, pościelą, meblami — niejednokrotnie z kurami i indykami. Był to niedzienny korowód, karawana imponująca. Kiedy się taki wóz drabiniasty na wyboistej drodze wywrócił, to wiedziało się że... jedziemy na wakacje. Jeździłi oczywiście tylko za moźni: przemysłowcy, kupcy, obszarnicy i nieco inteligencji zawodowej. Wczasy dla robotników i chłopów uważano by za „jakobińskie” mrzonki.

W „Tygodniku Ilustrowanym” z czerwca 1833 r. czytamy: „Na bruku miejskim (warszawskim) snują się co wieczór tłumy w beznamiętnej przechadzce, ziewając i przypatrując się sobie. Są to wszystko ofiary nieszczęśliwe obojętności i gołoty, dla których zieleni pól, świeże powietrze i wóń borów istnieją w snach tylko”.

Biedniejszym letnikom, którzy nie mogli sobie pozwolić na zagraniczne „bady” wiatr i na letnisku wiał w oczy. „Wolno takiemu biedacykowi — letnikowi — czytamy dalej w tymże piśmie — przejść się po piaszczystej drodze, jeżeli umie wymijać kałuże i bydelko, przepaść się pod łysą wierzbą. W chałupie, gdzie zamieszkałeś, gdy przyjdzie śnota, leje ci za kołnierza, wieje zewsząd, a ty siedzisz i czekasz zmiłowania bożego, bo wiesz, że ci nikt z pociecha, radą i pomocą nie przyjdzie”.

Uff... ładnie musiało się nalać czcigodnemu recenzentowi, niejakiemu panu Rzątkowskiemu, skoro tak pisze a skargę kończy następująco: „Malujemy bardzo wiernie te sielankowe rozkosze na pociechę tym, którym niebo ich odmówiło”.

Inaczej działo się naszym wielmożom. Nie uznawali oni naszych wód i polskie pieniądże wywozili do różnych Karlsbadów (Karlowe Vary). Cieplic i Bardyów. Kto dzisiaj wie cokolwiek o modnej przed 150 laty węgierskiej miejscowości Bardyów? A przecież tam topniały fortuny polskie. Jak opowiada kronikarz „w czerwcu i lipcu formowały się w Małopolsce całe karawany, złożone z kilkunastu pojazdów i karet poczwórnych, wiozących

wesołych gości za Karpata”.

Czy można porównać urok dzisiejszych kilku godzin spędzonych w wagonie z taką np. podróżą w dawnych latach? Oto co pisał przed 82 laty w „Kurjerze Warszawskim” W. Szymanowski: „Najnowsze wyliczenia geograficzne wykazują odległość Krynicy od Warszawy na mil zwykłych około 70. Tę przestrzeń koleją żelazną i pocztą można przebyć przy wyjeździe z Warszawy pociągami o godz. 6.30 z rana w 33 godziny, wychodząc z Warszawy w południe 53 godziny. Koleją galicyjską dostaniesz się przed północą do Bochni, bryczka którą zwa- fiakrem, odwozi cię za miasto na pocztę, a dwie czterosobowe karetki odchodzą stąd do Krynicy. Konie dobre, jazda prędka, przewozi cię przez góry, idące od Wiśnicz, a pięć stacji pocztowych czyli mil 13 przejeżdżesz niepostrzeżenie w przeciągu 14 godzin”.

Ten krótki opis ileż zawiera pobaw. Specjalnie te 14 godzin bezustannej jazdy końmi! Dedykujemy to dzisiejszym wczasowiczom, którym dłuży się droga z Poznania do Krakowa. Kto zaś cokolwiek ma do zarzucenia naszym wygodnym łażnikom w uzdrowiskach niechaj się dowiedzie, że około 1800 roku podróżnik, który zdołał dostać się do Krynicy musiał tam siedzieć w kurnej chacie, „opieczając po 2 dukaty tygodniowo”. Kąpiele i „łazienki” były takie, iż wodę przyniesioną ze źródła ogrzewano w wannie rozpalonymi do czerwoności kamieniami bez oglądania się na termometr. O porządku natomiast lekarskiej opowiada pewien hreczkosiej Małopolski, który przybył do Krynicy spod Bochni, że mając wziąć 60 kąpiel, wziął je w 6 dni „siedząc po 10 godzin w wannie”. Oczywiście jadł i pił w wodzie. Podobno biedak spieścił na żniwa do domu.

Na zakończenie podajemy na pociechę tym, którym tu i ówdzie nie podobają się wczasy na wsi wyjęte z dziennika mieszczucha warszawskiego z 1833 roku spisany na letnisku na Podkarpaciu:

„2 lipca. Deszcz pada bezustanku. Rzeka, która w pobliżu przepływa, wzbiera, żona z przebiegnięcia i wilgoci zapadła na malarię, ja mam okropny katar”.

16 lipca. Ciągłe leje. Dziś spaliśmy na gołej ziemi, bo słomy do stać nie można. Nie mamy też masła i mleka, bo prawie wszystkie krowy są cienne, a mięsa nie sprzedają. 17 lipca. Nie spaliśmy znowu noc całą, bo poza ścianą świątyni miała prosięta. Prócz tego córka okropnie jeździła, bowiem, idąc niebacznie szybko, uderzyła głową w belkę stropową. 29 lipca. Wróciliśmy do miasta. Obliczyłem pobyt na letnisku. Kosztowało mnie 365 koron, 27 halery. Poldzia leczy się u Prusa, ja i żona chodzimy do Gludzińskiego”.

Takie to były „kochane, dawne czasy...”